

Z myśli wieczornych



ELIZA ORZESZKOWA

Z myśli wieczornych

Któż się przed Tobą ostoi?

Wieczór dnia i wieczór życia mają ze sobą podobieństwa wiele. W jednej i drugiej porze słońca już niema i pełga tylko lampka, albo nikły płomyk świecy.

W jednej i drugiej porze człowiek znizuje na nic pamięci zaznane radości i smutki, spełnione i niespełnione nadzieje, wypite piółuny i miody.

Jedna i druga pora ma w sobie niezgłębiony smutek rzeczy zapadających w bezpowrotność i tajemniczy niepokój, który poprzedza noc.

W jednej i drugiej porze staje przed człowiekiem zapytanie: coś przez dzień upłyniony czynił, — uczynił?

Czy jest cokolwiek, co nad jedną i drugą porą zapalać może słońce?

Przeświadczenie, że dzień upłynął dobrze.

Jakto: dobrze?

Oto, kto wyrzeknie: dzień mój dla dobra nie stracon! tego wieczór jasny, jak poranek.

Lecz któż, ślepotą na samego siebie nie dotknięty, wyrzec to może?

O, Panie! któż się przed Tobą ostoi?

Kto ostoi się przed ideałem dobra, choćby w pracy i męce ściganym, lecz dościganym, ach, jak nie często? Kto ostoi się przed niedościgłym wcale ideałem doskonałości?

Dusza w porze wieczornej, o dniu przeminionym dumająca, widzi godziny złote i godziny miedziane, i godziny bez obliczy, z wnętrzem pustem. Płyną przed nią sznurem, płyną przed nią falami godziny błękitne i godziny czerwone, godziny wesołości pustych i godziny smutków próżnych.

Rozważa dusza i nie wie, po której stronie stał Anioł dobry, gdyż bywa pracowitość grzesniejsza od lenistwa i bywają smutki próżne, gorsze od wesołości pustych. Zwodniejszym bywa błękit słodczy, spokój lubiącej, i czerwono goreją niekiedy oblicza gniewów świętych.

O Panie! któż się przed Tobą ostoi?

Łopocą skrzydłami godziny zleciałe w próżnię, wypełzają ze skrytek pamięci gady pobudek tajemnych, ścielą się całuny chmur nieodegnanych, pod którymi wędły marnie szmaty dnia, pękały sprężyny siły.

O Panie! kto w porze wieczornej mniema, że ostoi się przed Tobą, — ślepcem jest.

A ten jasno widzącym, kto z miejsc wszystkich, po których ją rozsiał, zgarnia nadzieję swoją i całą pokłada — w miłosierdziu.

W miłosierdziu mądrym, w miłosierdziu wszystko rozumiejącem, przebaczącem, Ojcowskiem, — Twojem!

W ogniu pracy i łez...

Brzemieniem snów bezpowrotnych obarczony, niemocą w ścianach zamkniętych więziony, stałem u okna domu swego i oczyma w ogniu pracy i łez spalonymi patrzyłem na ludzi, idących krzepko, raźnie, wesoło.

Szli parami, gromadkami, w rozmowach poufnych poruszały się ich usta, w białym powietrzu zimowym zaróżowiały się ich twarze, stopy lekko odrywały się od ziemi.

Piękny, pogodny, słoneczny dzień zimowy; krzepcy, różni, w pogodzie złotej kąpiący się ludzie!

Nagle z łańcucha bezpowrotnych snów moich oderwał się, stanął przedemną jeden. Wspomniałem.

Jam także niegdyś, w takie same dni cudne, po tej samej ulicy, tak samo różnie i wesoło chodził, z taką samą rozmową poufną na ustach, twarzą zarumienioną w białym powietrzu zimowym.

A wtedy... cóż?

Wtedy może... pewnie... nawet niezawodnie, przez okno tego lub tamtego domu, z pod brzemienia niepowrotnych snów, z więzienia niemocą zamkniętych ścian, jak teraz moje na tych przechodniów, patrzyły na mnie jakieś oczy, spalone w ogniu pracy i łez.

Jam ich nie widział tak, jak teraz ci przechodnie nie widzą moich.

Powstają pod czołami ludzkimi oczy wesołe i oczy żałosne.

Powstają i przemieniają się jedne w drugie.

Przemieniają się, przemijają, wnet przez inne zastąpione.

Gdy przemijają, na wieki usypiają, gasną, o Panie! czy tam powracasz dni białe i złote, czy powracasz tam siłę i radość duchowi, który je tu spalił w ogniu pracy i łez?

Jest on jeszcze bardzo oddalony...

Pogrążanie się w wieczorze wspominającym, tęskniącym, w wieczorze nad mogiłami zadumanym, mrocznym — oto jedno z najpowszechniejszych nieszczęść świata.

Przyjdzie może czas, że siłą dobroci i siłą miłości, siłą mądrości dobrej ludzie przerabiać będą nieszczęścia w szczęścia, — ale teraz, jest on jeszcze bardzo oddalony.

Przyjdzie może czas, gdy silni słabych, mądrzy mniej mądrych, piękni szpetnych, młodzi starych braterskimi otoczą ramiony i zamiast jątrzyć rany pieprzem pośmiechu, pogwizdu, goić je będą słodyczą przyjaźni, pomocy. Wówczas cudem tej słodczy słabi przemienią się w silnych, niemądrzy w mądrych, szpetni w pięknych, a starzy długo żyć będą — duchem młodzi.

Ale teraz, czas ten jest jeszcze bardzo oddalony.

Czy kiedykolwiek przyjdzie?

Jeszcze wołaj Stwórcy, aby stworzenie ziemskie czasu takiego zaznało?

Posiadaż stworzenie ziemskie moc stworzenia takiego czasu?

Istnieje przecież, tleje lub goreje w nielicznych sercach ludzkich jego przeczucie.

Czemże są te przeczucia? Czemu są te skrzydła, co przez mgieł pierzchliwych zwoje niosą serca w świetliste głębie czasu i tam przeciw nadziejom zawieszają kotwice nadziei.

Wszystko na ziemi przeciw nim się sprzymierza, a one trwają. Wszystkie rzeczy jawne, mocne, głośno brzmiące, triumfujące, wołają na nie: marą płonną, mgłą, złudą, z nierozumu powstałem niczem — jesteście!

A one odpowiadają: trwamy. I przez wieki, przez wichry, przez gromy, w sercach, jak w arkach, niosą kotwicę nadziei w świetlistą dań, w nieznaną głębię czasu.

Czemże są?

Nie są rysem nieśmiertelnym, na sercach skreślonym wówczas, gdy serca te były iskrami w Twoim płomieniu, jelonkami pojącymi się u Twych źródeł, — o Źródło wszechwód czystych! o ognisko ogni świętych!

Nie są promieniem wiekuistym, który na serca spłynął wówczas, gdyś naznaczył je światłem Oblicza Twojego — o Zbiorniku wszechświata, lejących się na wszechświata i czasy!

Przez wichry i kurzawy, przez grady i gromy, niosą serca wierne ten rys i ten promień, ku czasowi królestwa Twojego, który teraz jest jeszcze bardzo oddalony...

Słyszysz to wieczór...

Ludzie, oblicza, brzmienia głosu, uczucia, związki, sceny natury i obrazy życia, momenty serca i momenty myśli, formy i treści, powierzchownie i jądra — przemijają. Wszystko, co ziemskie, przemija.

Pamięta o tem wieczór.

Nie w każde serce dzień wszczepia uczucie przemijalności wszystkiego co ziemskie, lecz to, w które wszczepi, minut radości zaznawać niekiedy może, godzin smutku zaznawać zawsze musi.

Wie o tem wieczór.

Więc częściej od pór dnia przeminionych pochyła się nad swą duszą i wargami, pragnieniem wiekuistości drżącemi, mówi:

— Ty nie przeminiesz.

A ona, w pomroku wieczora świecąc iskrą brylantową, skrzydła rozpina i odpowiada:

— Od naczyń kruchych, od prochów rozsypanych, od zmiennych form i znikających cieni — ulecimy!

Słyszysz to wieczór...

Że raz jeszcze...

Że przed nadejściem nocy raz jeszcze ujrzałem lazury niebios wolnych, przestworza pól szerokich, płynne kryształły wodne, chyże loty jaskółcze, słoneczny glob promienisty, który sphywał za obrzeżynę ziemi, gdy po niebie orszakiem królewskim żeglowały świecące klejnoty — obłoki

i że słyszałem skrzydła wichrów szumne, skowrończe śpiewy lotne, szeptania liści o tajemnicach zapadającego zmroku, głębokie cisze, których kopyły wznoszą się nad świtania błękitnych poranków;

żeś oczom moim spocząć dał w oczach niezapominajek, pić biel śnieżystą z wilgotnych koron nenufarów —

i że widziałem, jak na gałęziach wiotkich goreją rosy, gdy w nie przenika purpura zorzy rubinowa;

że gdy wszystko naokół ciche było i czyste, myślą czystą i cierpieniem cichem do Ciebie o litość nad sercem swem wołałem

i litością wielką litowałem się nad tymi, którzy we wrzawach pustych, w blaskach zwodnych, w rozpyłe dusz marnym serca swe nurzają;

żeś o godzinie zachodu zapalił mi na niebie rubinową smugę zorzy, której purpura serce moje przeniknęła

i że to serce przed okiem Twojem na oścież rozewrzeć mogę, bo na jego purpurze nic niema, krom gorejącej jak rosa o zachodzie — lzy;

байд podziękowan i ubłogosławion Stwórcu lazurów, kryształów, lotów chyżych, kwiatów białych, globów promienistych i — serc przeniknionych purpurą wieczornej zorzy, z gorejącą na niej w milczeniu wieczornem — lżą!

Zmituj się nad nami!

Jako woda uciekająca — życie nasze,
jako wąż skorupy kruche — łódzie nasze,
jako kwiaty więdnące — serca nasze,
jako ptaki więzione — dusze nasze.

Jako światelka, które we mgłach obłądnych Światła szukają — myśli nasze,
jako rany, które, tęsknością łaknące, wargi ku dosytowi rozwierają — kochania nasze,

jako trzciny, któremi nad wezbraniem wód biegnących
wichry miotają — wole nasze,
jako gołębie, które pod niebiosami pościg jastrzębi za sobą mają — cnoty nasze.
Tyś, Panie! dla wód w wieczność uciekających — ujściem,
dla żeglarzy z fal na fale spienione rzucanych — przystanią,
dla serc od tęskności we wnętrzu swem omdlałych — winem,
dla skrzydeł od bicia w ściany klatek rozbolałych — nadzieją.

Zmiłuj się nad nami!

Tyś pochodnią — szukającym,
lekarzem tym — co chorzy,
siłą — w sobie zachwianych,
ratunkiem — ściganych.

Zmiłuj się nad nami!

My prochy liche i przed Wielkością Twoją największy z nas — pyłek maleńki, my ślepcy
błądzący i przed Mądrością Twoją najmędrzy z nas krótkowidz jednooki,
my z jadem w żyłach urodzeni i przed Dobrocią Twoją najśłodszy z nas — piołun gorzki,
my niedolą na sercach piętnowani i przed Szczęśliwością Twoją najszcześniejszy z nas —
nędzarz splakany.

Zmiłuj się nad nami!

Tyś Światłem — bez cienia,
Kochaniem — bez cierpienia,
Potęgą — bez zachwiania,
Dobrem — bez skazy.

Zmiłuj się nad nami!

Wielkość Twa, za krańce stworzonych wszechprzestrzeni — sięga,
Mądrość Twa, zmywa do stóp Twych kornie przypadające — przekreśla,
Dobroć Twa serca, błagalnie rany swe Tobie ukazujące — ukaja,
Litość Twa, nad brzemiona swe po drogach twardych niosącymi — pochylona.

Zmiłuj się nad nami!

Idziemy, idziemy ku Tobie po falach wód w wieczność biegnących — chwiejący się i nie-
dowidzący,
plyniemy; płyniemy ku Tobie na łodziach wątłych, kruchych — błądzący i powracający,
wołamy, wołamy ku Tobie z serc zranionych i skrzydeł zmęczonych — łzy i krew ronią-
cy,
lecimy, lecimy ku Tobie przed wichrami złymi i pościgami jastrzębimi — strwożeni
i uciekający.

Zmiłuj się nad nami!

Tak szeptał tuman czarny...

Niegdyś, niegdyś przyszła była do mnie mara posępna i, na bezsennem posłaniu mojem
ległszy, tumanem czarnym całego mię pokryła.

Całego mię okryła, od stóp aż po włosy, tumanem czarnym, z którego były jej ciało
i suknia, a szept jej syczący głowę mą oblewał i, kędy życie sercem tętni, — spływał.

Smutkiem nazwała siebie mara czarna i rzekła:

że za bratem swym, Bólem, śladem w ślad po świecie chodzi;

że gdy Ból serce człowiecze przebiję i na dzień jego zmęczony spoczywa, ona przycho-
dzi;

że Ból jest nożem, który krew wytacza, ona trucizną, która w krew się wsąca;

że krzyk jest głosem Bólu, krew jego kolorem, a ona cicho stąpa, nocy barwą oble-
czona, powoli, powoli na pierś, oczy, myśl, siły człowiecze się kładzie i szepce... szepce...

—...,Co ty wiesz?

„Wiotkim tyś cieniem, który po drodze życia mknie i — znika.

„Skąd? Dokąd?
„Co ty wiesz?
„Miljardem dróg jest życie, któremi na świat powierzchni miliardy cieni pomyka i —
znika.

„Skąd? Dokąd?
„Czy ty wiesz?
„Świat zbiorowiskiem cieni wszech natur i kształtów, które na czasie oceanie pomykają
i — znikają.

„Skąd? Dokąd?
„Czy ty wiesz?
„W sercu twem słowik i róża skonały; w głębokościach przestworzy umarła gwiazda.
Po co róże, słowiki i gwiazdy?

„Czy ty wiesz?
„Na sercu, czole, dłoniach piekące pieczęcie złej doli nosisz.
„Za co? Ku czemu?
„Czy ty wiesz?
„W pobliżu brzmi muzyka skoczna, rozlegają się śpiewy i śmiechy ochocze. Tam
radość życia, płąsy, wesele. Idź i szatę Dejaniry, z piekących pieczęci złej doli utkaną,
w kaskadę śmiechu — wrzuć...

.....
„Od kaskady śmiechu wzrok, słuch, duszę z niechęcią odwracasz?
„W pobliżu las stoi głęboki, samotny, spokojny, cichy, cienisty, bezpieczny od świata,
od ludzi i dobrze być musi, ach! na mchów pierzu miękkim, pod szerokimi skrzydłami
paproci, oko w oko tylko ze skabiozą białą, nad głową tylko z obłokiem skrzydlatym —
usnąć!

„Idź, i w cienie, spokojnej, samotnej głębi lasu — na mchy i paprocie szatę życia
— zrzucić!

„Po co życie?
„Czy ty wiesz?

.....
...„Gdybyś wiedział, że z łez twych oczu powstanie źródło kastalski, w którym skąpane
oczy inne nigdy już płakać nie będą;

...gdybyś wiedział, że z prochu twoich słowików zamordowanych Feniks uleci i w ser-
cach innych pomarłe szczęście odrodzi;

...gdybyś wiedział, że dłoń twoja dłoni czyjej, dusza twoja duszy czyjej — jest radością.

„Gdyby kto wołał...

„Wysłuchaj się w echa, które głosy niosą!

„Nikt nie woła. To wiesz...

„Z łez, wylanych przez oczy jedne, powstają dla oczu innych cudowne źródła kastal-
skie?

„Nad popioły róż i słowików umarłych wlatują ptaki szczęśliwych odrodzeń?

„Dobędzie pług twój ziarno z roli bagnistej lub wyschłej?

„Wysączą twoje wargi skrwawione gorycz z jądra kwiatu?

„Czy ty wiesz?

„Wołaż ku tobie głos jaki kochany: radości moja?

„Wysłuchaj się w echa, które głosy niosą!

„Cisza. Nikt nie woła. To wiesz...

.....
...„Od śmiechu kaskady wzrok, słuch, duszę z niechęcią odwracasz?

„W pobliżu las głęboki, spokojny, samotny, cichy, cienisty, bezpieczny od świata, od
ludzi, i dobrze tam spać — bez snów”.

— Tak szeptał tuman czarny, któremu na imię Smutek, który za bratem swym, Bó-
lem, przychodzi i, gdy tamten krew wytacza, on sączy w nią truciznę powoli... powoli...

I już nic...

Kędy życie sercem tętni, kędy potok myśli płynie, kędy pręży się Wola — królowa,
i do stóp królowej sługi — siły przybiegają — już nic!

Tylko ten las, głęboki, samotny, spokojny.... mchy, paprocie.... od ludzi, od świata...
Nic. Ze skabiozą białą oko w oko... z obłokiem skrzydlatym nad głową... sen bez snów...

Cóż ja wiem?... Nikt nie woła... To wiem. I nic.

.....
...U wezłowania mego wtedy stanęły dwa białe, wysokie Anioły.

Z dwóch stron wezłowania mego dwa Anioły stanęły — i gdy skrzydła ich szerokie pochylały się nademną, jak nad dzieckiem splakanem chylały się macierzyńskie dłonie, jeden rzekł:

Bóg.

A drugi rzekł:

Polska.

Piórami skrzydła swego oczu mych dotykając, jeden rzekł:

Bóg wie!

Pióra skrzydła swego na sercu mi kładąc, drugi rzekł:

Polska woła.

W tumanie czarnym, w głębokich głębiach jego, zapłomieniały dwa ogromne słońca.

Na płomieniejące słońca skrzydłami ukazując, Anioły rzekły:

Tam idź!

Wskrósł mózgu, wskrósł piersi płynęły mi głosy Aniołów i tam spłynęły, kędy życiem sercem tętni.

Powstałem — szedłem — idę!

Do tumanu czarnego nie rzekły Anioły: odejdz!

Idzie za mną, ale nie jest czarny. Jak lampy niebieskie, świecą w nim oczy wysokich Aniołów i płomienieją w głębokich głębiach jego — dwa ogromne słońca.

Kędy płyną dwa złote ruczaje...

Sprzecznościom życia dziwisz się. Śmiechowi, co zadzwonił wśród krzyków tragedji, li-chej glinie w pokładach drogiego marmuru, rdzawej skazie na płatku róży białej — dziwisz się.

O, drogi! Twory życia to zlepy marmuru i gliny, uploty sznurów pereł i sznurów koralu.

Perłowe gamy śmiechu, — koralowe strugi krwi;

cień chmury na jutrzni porannej, — złota gwiazda nad wieczorną zorzą;

śmieszek lekki, u którego tonów, na sznurach łez kołyszą się ciężkie westchnienia;

łzy ciekące po złotogłowiu, — konwalia pachnąca na grobie;

skaczący i wybielony kłown, — w ponurej celi smutku;

świszczący dyscypliny pokutnej, przerywający pieśń Anakreonta;

pieśń Anakreontowa, brzmiąca w czasie biesiadnych pochodni, gdy w jasności jutrz-nianej skowronek dzwoni i skowronkowo, pod błękitami, modlitwę poranną śpiewa dzwonnica kościelna...

Czyś nigdy nie czuł bólu, który z samego siebie się śmieje i śmiechu, który nad sobą samym ogromnym łkaniem płacze?

Czy nie widziałeś grzechu, męką serdeczną dźwiganego ku ogromom cnoty, i cnoty, którą złość serca w rozdoły grzechu spychała?

Na zachód idąc, nie umierałeś nigdy z tęsknoty za wschodem, a gdy ku temu kroki obróciłeś, czyliżeś się wicherem żalu na wschód nie zwracał?

O, drogi! w tym zlepie, w tym splocie, w tych wiecznych bojach życia, jedno tylko oko Boże rozróżnić zdoła glinę od marmuru, sznur pereł od sznura koralu, łzę oka od złotogłowiu szaty, rdzę na płatku róży białej od spalonego w żarach słonecznych jej serca, — i niech ono jedno tylko gromem gniewu drużoce i spala to, co dla wszechświatłości Jego jest ciemnością.

A my...

Lecz zważ jeszcze. W muzyce tej bezdennej, którą rozlega się świat, im narzędzie muzyczne kunsztowniejsze, bogatsze, im pierś jego szersza i struny liczniejsze, im cieńsze, lotniejsze, na myśl muzyczną wrażliwsze palce, które po strunach przebiegają...

Posłuchaj!

Czy słyszysz tam w dali, u skraju równiny grającą fletnię pastuszą?

Jedna, druga, trzecia nuta! jedna, druga, trzecia nuta! wciąż te same... te same...

Umilkł instrument prostaczy, ubogi.

A teraz... słyszysz.

Rozegrała się, rozśpiewała, rozdzwoniła harfa kunsztowna, bogata, pierś zasnuta złotemi struny wystawiająca na błyskawice, gromy, słońca, podmuchy, szelesty, pogody, pieszczoty i miecze, chmury i błękitny nieba, ziemi, duszy własnej, — duszy głębokiej, a po brzegi pełnej nieba i ziemi...

O, drogi! w tej ulewie, w tej burzy, w tym zgiełku, w tych nieskończonych bojach tonów, jedno tylko ucho Boże rozróżnić zdoła potępione od błogosławionych i niech jedno tylko Słowo Boże ku tym grzmi: zgińcie! ku tamtym: śpiewajcie!

A my...

Wznies na dłoni amforę i pójdźmy, kędy wśród szarych piołunów płyną dwa złote ruczaje...

Miodną patoką miłosierdzia i oliwą przebaczenia płyną.

Zanurz w ruczajach wargę amfory, niechaj z nich pije — i poniesiemy ją między harfy świata, by łkające ich struny słodyczą miodu sycić i zgrzytające namaszczać oliwą pokoju.

Potem amforę oddamy rękom bratnim, aby ją pochyliły nad strunami — naszych harf.

Cicho, cicho na leśnej polanie...

Cicho, cicho na leśnej polanie, barwami rozmaitemi pałają kwiaty dzikie — i niema na nich kurzawy, przez wiatry niedobre po świecie noszonej. Jak rosa poranna czyste, stoją w niewinnej zadumie nad pościelą, z blasków słonecznych utkaną, którą chwiejne cienie drzew okolnych w chwiejne, wzorzyste przeźrocza dzierzgają.

Czystem złotem błyszczą twarze jaskrów i posłonków, mnóstwem ocz modrych z traw wyglądają barwinki, na spotkanie śnieżnych gwiazdnic po trawach pełną bursztynowe sznury rozchodników, z brązowymi włosami mietlic splątane korale rdestu malują smugę połysków miedzianych.

Wnet przyjdzie tu młode dziewczę wiejskie, na połyskliwej smudze miedzianej usiądzie i, rozchodniki, posłonki, gwiazdnicę zrywając, wić z nich będzie wianki drobne, które w jaskrawe dnia świątecznego południe, w obłocznych dymach kadzideł ofiarnych, u kościelnego ołtarza zawiesi.

Boże! od kurzawy, przez wichry niedobre po świecie noszonej, strzeż kwiaty na polanie leśnej w zadumie niewinnej stojące, i niechaj czyste, jak rosa poranna, w obłokach dymów ofiarnych, barwami rozmaitemi u Twego Ołtarza pałają.

*

Cicho, cicho w cienistem ustroniu falami błękitnymi płynie strumień leśny — i niema w nim burz, które w toniach ciemnych wzniesają wichry zbuntowane. Kryształem roztopionym, w błękitnej zadumie, płynie ku dalekiemu, w mgły spowitemu, różową tajemnicą z za leśnej gęstwiny przeglądającemu skłonowi nieba.

Złotemi strzałami tkwią w falach strumienia płomień słoneczny, dzierzgają je w chwiejne, wzorzyste przeźrocza chwiejące się u brzegu brzozy i kaliny, płyną nad nimi smętne szmery i poszumy lasu, mkną po nich smukłe cienie przelatujących ważek i motyli.

Wnet przybiegnie tu sarna chyża i z fali, strzałą słoneczną drgającej, błękit i złoto pić będzie, rybitwa spragniona zleci, by piersią śnieżną przypaść do rzeźwiącego jej łona, opadnie na nią gałąź kaliny i kwiatem rozwitym, jak śnieżną wielką gwiazdą, zaświeci.

Boże! od wichrów zbuntowanych, które w toniach wodnych burze wznecają, strzeż strumień w cienistym ustroniu płynący, i niech czysty, jak roztopione kryształy, spragnione kwiaty, sarny i rybitwy pojąc, w błękitnej zadumie, ku dalekiemu, w róże tajemnic Twych spowitemu skłonowi nieba Twego płynię.

*

Cicho, cicho w sercach naszych barwami rozmaitemi palają marzenia nieśmiałe — i niema na nich kurzawy, przez wichry niedobre po świetle noszonej.

Cicho, cicho przez serca nasze przepływa strumień nadziei — i niema w nim burzy, którą w toniach wodnych wznecają wichry zbuntowane.

Wzbija się nad ogrodem marzeń kopuła gwiazdzista i przelatują pod nią wysokolotne orły.

Nad brzegiem Renu stali...

Wspomnienie z dalekiego świata niegdyś przywiezione i nie wiem czemu w pamięci trwa-
jące. Tak drobny, tak drobny bohater wspomnienia, że nie wiem czemu...

Ginie mi czasem i znowu powraca. W mrokach zadumy przelatuje najczęściej i słyszę wtedy łoskot, krzyk, szumy, naprzeciw którym leci.

Choć w pyle skier złotych widziałam go niegdyś i choć z oczu mi zniknął w lśnieniu
połamanych tęcz, w mrokach zadumy widuję go najczęściej, nie wiem czemu... ..

... ..

... Nad brzegiem Renu stali widzowie zdumieni, w słynny wodospad szafhuzański
zapatrzeni, wsłuchani.

Dzień był letni, gorący. W upale, w blasku słońca stały pałace białe, ogrody kwietne,
ulice ludne, drzewa rozłożyste. Ren płynął wstęgą roztopionego srebra i po roztopionem
srebrze, z puszczonego na wiatr pióropuszkami dymów-olbrzymów, nadpływały, przepły-
wały, rozmijały się, turkotały statki wodne.

Ale to wszystko było niczem, to wszystko jak atomy w bezmiarze tonęło, ginęło
w widoku i w głosie cudu przyrody, ogromu przyrody.

Z wysoka, z wysoka ogrom ten na srebrną rzekę spada. Zanim spadnie, wody swe
w powietrzu na alabastry twarde, na przezroczyste kryształy przerabia, budując z nich
kolumny, wieżycy, zamczyska, puszcze kształtów w alabaster i kryształ stężonych, a wiecznie
ruchomych. Wszystko jak alabaster białe, albo jak kryształ przezrocze; na wszystko piany
śnieżyste kładą koronki królewskie, ciężkie i kwiaty wielkie, bajeczne, a naokół rozpyła
się kurzawa wodna lekka, leciuchna, złotymi skierkami świecąca i przez kurzawę złotych
skierek, w kolumny, w wieżycy, w zamczyska strzały słoneczne wstępują, zapalając tu
i owdzie, wyżej, niżej fragmenty połamanych tęcz.

Z wysoka, z wysoka ogrom ten spada — i krzyczy. Z innych wiecznie cząstek te
same wiecznie kształty budując, szumem straszliwym, gwałtem piekielnym, krzykiem
obłądnym przestrzeń od ziemi do nieba napelnia.

Jakby dwa morza w przyptywach przeciwnych łonami rozszalałymi wzajem o sie-
bie uderzały, jakby dwa niebieskie globy ścierały się w boju śmiertelnym. Szum, łoskot,
grzmoty, zgiełk — gwizdania, turkoty, bełkoty rozelkane, ryki bólów ponurych bez na-
dziei, ani odpoczynku.

Jakiś bez odpoczynku gwałt rzeczy wściekłych, które od nieba do ziemi ścigają się
i druzgocą, — jakaś nieśmiertelna męka rzeczy, które, z piorunowym pędem w unice-
stwienie lecąc, szumią szałem, huczą rozpaczą, bełkocą od bólu i, w każdym mgnieniu
unicestwiane, odnawiają się z każdym mgnieniem, wiecznie inne, wiecznie takie same.

I wiecznie je wokół oblatuje leciuchny pył skierek złotych i wiecznie na paletach
z alabastru i kryształu siedm barw lśniących przelewa w nich tu, owdzie fragmenty tęcz...

Stali nad brzegiem Renu widzowie zdumieni.. ..

... ..

Wtem z nad głów ich wyleciało i falującym, drżącym lotem w powietrzu pływać zaczęło coś małego, błękitnego, tak małego i błękitnego, jak kwiat lnu.

Był to mały, błękitny motyl.

Skąd się tu wziął? Z nad jakich traw spokojnych, z jakich cienistych, kwiecistych ogrodów zerwał się, aby tu lecieć?

Co ku tej grozie i ku tej potędze, ku odmętowi pędu i krzyku gnało to drobne, to wątłe stworzenie?

Co tę słodką idyllę pociągało do tej straszliwej tragedji?

Co zadzierzgnęło nic pociągu niewidzialną pomiędzy małością tą a tym ogromem?

Czy do tęczy leciał? Czy do słonecznych strzał, co w kryształowych kolumnach gorzały?

Leciał. Mrugały mu skrzydełka szybko, szybko, jak mrugają powieki nad oczyma człowieka przestraszonego. Wzlatywał ku górze i ku dołowi się opuszczał; pomykał naprzód i znów się cofał. Lękał się. Leciał przecież. Chłodem bolesnym biła wodna kurzawa. Leciał. Nad ból, nad lęk silniejsza bywa nic pociągu tajemnicza.

Już w leciuchnej kurzawie wodnej drobiną błękitną migoce, już obleciały go skierki złote i drobne skrzydła walczą...

Walka skrzydlatej drobiny błękitu z ogromami przelewających się kryształów i alabastrów cichego mieszkańca pól i ogrodów z odmętem, szaleń, wrzaskiem wodospadu.

I stało się, że przed oczyma widzów ta małość zasłoniła tę ogromność. Ścigały ją oczy...

Przebył mgławicę złotą, zleciał na tęczę, w czaszy śnieżystego kwiatu migoczącą — zniknął.

Nadaremnie szukały go oczy. Może w męczarni skrzydełek roztarganych żył i walczył jeszcze w toniach alabastrowej wieżycy? Może ze śnieżystego kwiatu wylały go piany wzburzone i razem z tęczą, na której był osiadł, w otchłan huczących nurtów runął?

Nie było go nigdzie.

Wodospad zaś piętrzył kryształy na alabastry, alabastry na kryształy i grzmiał, szumiał, płakał, szalał nieśmiertelną męką rzeczy, które pędem piorunowym w unicestwienie lecą i, w każdym mgnieniu unicestwiane, odnawiają się z każdym mgnieniem, wiecznie inne, wiecznie takie same...

.....O duszo z niebieskich otchłani błękitnych zlatująca pomiędzy ziemskie wrzawy, pościgi, piany wzburzone i tęcze znikome!

O dolo, któraś zerwała się z nad traw spokojnych, z cienistych, kwiecistych ogrodów, aby lecieć ku niebotycznym kolumnom i wieżycom, ku niezgłębionemu odmętowi i nieśmiertelnej męce — rzeczy wielkich!

*

Są pory w życiu człowieka, w których jedyną pracą, jedynym czynem, jedyną zasługą może być tylko cierpliwe, bez skarg i gniewu znoszenie życia. Nic podźwignąć i nic dokonać już nie można, oprócz wzniesienia duszy swojej nad małości tego świata i powściągnięcie jej od wylewania na świat tych ciemności i goryczy, którymi on ją napoił.

Wszystkie zasoby Wolnych Lektur możesz swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać pod warunkiem zachowania warunków licencji i zgodnie z **Zasadami wykorzystania Wolnych Lektur**.

Ten utwór jest w domenie publicznej.

Wszystkie materiały dodatkowe (przypisy, motywy literackie) są udostępnione na **Licencji Wolnej Sztuki 1.3**. Fundacja Wolne Lektury zastrzega sobie prawa do wydania krytycznego zgodnie z art. Art.99(2) Ustawy o prawach autorskich i prawach pokrewnych. Wykorzystując zasoby z Wolnych Lektur, należy pamiętać o zapisach licencji oraz zasadach, które spisaliśmy w **Zasadach wykorzystania Wolnych Lektur**. Zapoznaj się z nimi, zanim udostępnisz dalej nasze książki.

E-book można pobrać ze strony: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/z-mysli-wieczornych>

Tekst opracowany na podstawie: Eliza Orzeszkowa, Ostatnie nowele, nakład Gebethnera i Wolffa, Warszawa.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonała Paulina Choromańska, natomiast korektę utworu ze źródłem wikiskrybowie w ramach projektu Wikiźródła.

ISBN 978-83-288-0669-6

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Wolne Lektury – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1,5% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Wolne Lektury, KRS 0000070056.

Wspieraj Wolne Lektury i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: szczegóły na stronie Fundacji.